NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego“

Nr. 5 | Wąbrzeźno 29 stycznia 1927 r. | Rok 4

Ewangelja

św. Mateusza rozdz. 8, wiersz 23—27.

Gdy wstąpił w łódkę, weszli za Nim uczniowie Jego. A oto wzruszenie wielkie stało się na morzu, tak, iż się łódka wałmi pokrywała, a On spał. I przystąpili do Niego uczniowie Jego i obudzili Go, mówiąc: Panie, zachowaj nas, giniemy! I rzekł im Jezus: Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary? Tedy wstawszy rozkazał wiatrom i morzu i stało się uciszenie wielkie. A ludzie się dziwowali, mówiąc: Jakiż jest Ten, że Mu i wiatry i morze są posłuszne?

Nauka z ewangelji.

Skąd poszło, że Pan Jezus wśród burzy spał?

Jak świadczy św. Marek (4, 1), Pan Jezus z łódki nauczał lud aż do wieczora; nie dziw przeto, iż ulegając naturze strudzony zasnął. Ale wszechmocnego i wszechwiednego Boga-człowieka nic przypadkowo nie spotyka; sam wszystko tak urządza, aby służyło do Jego celu. Celem Jego było obudzić w Apostołach wiarę w Swe Bóstwo. Dlatego wzniecał nawałnicę i spał podczas niej z umysłu. To dało Apostołom sposobność do okazania swej wiary w Niego a Jemu do utwierdzenia w nich tejże wiary cudem.

Czego nas uczy powyższa ewangelja?

1. Widzimy, że Bóg jest zawsze gotów dopomódz tym, którzy Weń ufają, gdyż wskutek prośby uczniów cudem ocala ich życie. 2. Widząc ten cud, utwierdzili się ludzie w wierze. Codzień widzimy w stworzeniach cuda wszechmocy, mądrości i dobroci Boskiej, a jednak jesteśmy na nie obojętnemi i oziębłemi względem Boga. Co tego powodem? Bo zapatrujemy się na nie oczyma ciała, nie oczyma duszy. Nie wznosimy się myślą do Boga i z pięknosci i pożytecznoścj rzeczy stworzonych nie wyciągamy koniecznych wniosków o dobroci, mądrości Boga itd. Swięci inaczej na świat spoglądali. Kwiat, drobny robaczek budził w sercu świętego Franciszka Salezego albo Franciszka z Assyżu podziw i miłość do Boga; jakby na drabinie wznosili się od stworzenia do Tego, który wszystkie stworzenia darzy życiem, ruchem, istnością. Gdybyśmy szli za ich przykładem, większąby była miłość i tęsknota nasza do Boga. Skoro zaś tego nie czynimy, wtedy nie żyjemy, jak istoty rozumem obdarzone i stworzone na to, aby Boga poznać i miłować.

Historja prawdziwa z Tysiąca i jednej nocy.

Gdyby nie niedyskrecja prasy angielskiej, udałoby się Muzeum Brytyjskiemu utrzymać do właściwego czasu w tajemnicy wiadomość o bezcennych klejnotach przedhistorycznych, jakie dzięki niezwykłemu przypadkowi, wpadły w ręce jednego z pracujących dla Muzeum — archeologów. Powściągliwość zarządu Muzeum oraz samego archeologa co do nieogłaszania przed czasem ciekawej tej wiadomości, tłumaczy się przypuszczeniem że owe klejnoty stanowią tylko drobną część skarbu, pochodzącego z zamierzchłej epoki dziejowej. Cała opowieść o tym skarbie brzmi niby bajka z Tysiąca i jednej nocy, a mimo to jest prawdziwą.

Oddawna już krążyły podania o skarbach ukrytych w odwiecznem, wykutem w skałach nad zatoką Akaba, pomiędzy morzem Czerwonem, a morzem Martwem, mieście Petra, Arabowie, będący wyłącznemi panami całej okolicy, stawiali zawsze wszelkie możliwe przeszkody cudzoziemcom usiłującym dostać się do skał owych i do miasta z jego zachowanemi jakoby nietkniętym stanie pałacami i świątyniami, których podziemia mieścić mają owe skarby legendarne. Poza trudnościami stawianemi przez Arabów, broni sama natura dostępu do skał, do których prowadzi ciasny wąwóz, zwężający się miejscami do paru metrów. Tem się też tłumaczy, iż przez długi czas nie udawało się nikomu odnaleźć miasta, ani tembardziej dotrzeć do jego skarbów. Historja miasta Petra sięga stu lat przed Chrystusem, w tej bowiem epoce Natabejczykowie, szczep władający wielką połacią ziemi od Damaszka do Gazy i trudniący się handlem, żeglugą i korsarstwem, założyli je gromadząc w niem niezliczone bogactwa, zwiezione z północnej Afryki i Azji oraz łupy zrabowane podczas wypraw korsarskich. O dalszych losach Natabejczyków i miasta — milczy historja. Mimo jednak, że rasa wygasła, czar nieznanej tragedji dziejowej utrzymał się aż do naszych cza-

sów. Z wyłuszczonych już wszakże względów były poszukiwania archeologiczne w tej okolicy nader skąpe. W 1812 — Niemiec Burkhard odnalazł miasto Petrę, zorganizowanym jednak wskutek tego odkrycia dwom ekspedycjom niemieckim zastąpiły drogę wiodącym do skał i miasta w wąwozie liczne arabskie siły zbrojne i nie puściły ich dalej.

Obecnie wszelako uległ stan rzeczy zmianie. Palestyną rządzą Anglicy, którzy wysłali do miasta Petry ekspedycję prowadzoną przez wspomnianego archeologa Muzeum Brytyjskiego i eksportowaną przez odpowiednią siłę wojskową. Do wysłania ekspędycji zachęciło Muzeum wydarzenie jakie spotkało pewnego koczującego beduina. Beduin ten wraz z towarzyszami rozłożył obóz w Petrze, tuż obok budowli zwanej „Skarbem Faraona". Podczas kiedy cały obóz odpoczywał, wszedł beduin do wnętrza budynku i tu, stąpając po rumowiskach, pokrywających posadzkę jednej z komnat, poczuł, że płyta kamienna, na którą stąpnął zakołysała się pod jego nogami i, zanim spostrzegł obruciła się na zawiasach, wskutek czego zapadł się on nagle pod ziemię i znalazł się w rodzaju sklepionej piwnicy, zaś płyta kamienna nad jego głową momentalnie zawarła się ponownie. Gdy na wołania jego o pomoc nikt nie odpowiadał, zaczął szukać poomacku wyjścia i wreszcie znalazł wijący się w górę korytarz, przez który przedostał się do obszernej komnaty, stanowiącej punkt zbiegania się sześciu innych korytarzy. W pośrodku komnaty stała na wysokim piedestale wielka urna i kiedy wdrapawszy się na piedestał, zajrzał do jej wnętrza, olśnił go blask niezliczonych klejnotów, oraz przedmiotów ze złota. Wziął parę ich garści, ukrył je na głowie pod zawojem i zaczął piąć sie jednem z korytarzy, aż wreszcie przecisnąwszy się z trudem przez tarasujące go złomy skał, wydostał się ku zdumieniu swojemu na wierzch zbocza skalnego znacznie powyżej miasta Petry. Z niemałym trudem i niebezpieczeństwem udało mu się zsunąć na dół i złączyć z resztą towarzyszy. Zabrane klejnoty sprzedał archeologowi Muzeum Brytyjskiego, robiącemu poszukiwania w Palestynie, ten zaś zainteresował Muzeum i stąd właśnie bierze początek wyprawa obecna, której losy interesują historyków i archeologów niemniej żywo, niż odkrycie grobowca Tut-ankhamena.

Imieniny.

Jesteśmy narodem, który lubi wszelkiego rodzaju uroczystości: rocznice i jubileusze, jubileusze rocznie i rocznice jubileuszów, a wreszcie w skromniejszym zakresie prywatnego życia: imieniny. Co drugi prawie dzień człowiek po obudzeniu się i rzuceniu okiem na kalendarz, konstatuje, że to właśnie dzisiaj jest Kleofasa albo Pafnucego, Petroneli czy też Korduli i w pierwszej chwili wydobywa mu się z piersi okrzyk:

— Tam do licha, znowu imieniny!...

Ale tradycja obowiązuje, więc kupujesz za ostatnie grosze pudełko czekoladek albo wiązankę kwiatów na kredyt w kwiaciarni, lub wreszcie jakiś milutki drobiazg, najzupełniej solenizantowi niepotrzebny, np. ślicznego jamnika ze szkła albo cygarniczkę, jeśli jest człowiekiem niepalącym.

A cóż dopiero wycierpieć musi ten nieszczęsny bohater uroczystości imieninowej, któremu tego dnia wyspać się nie dadzą, bo już go wczesnym rankiem budzą życzeniami, którego zasypują mnóstwem podarków, bardzo może miłych, ale zupełnie zbytecznych, a wprowadzających w kłopot przez to, że wymagają one rewanżu. Solenizant chowa mopsy z porcelany, cygarniczki, popielniczki, dusi się zapachem kwiatów, jeżeli to solenizantka, to dostaje niestrawność żołądka z przejedzenia się cukierkami, a potem idzie pożyczyć pieniędzy, bo przecież imieniny trzeba „oblać". Jeżeli przypadkiem nieszczęśnik ów jest profesorem gimnazjalnym, to rankiem oczywiście budzi go orkiestra uczniowska, grająca możliwie najfałszywiej jakiś hymn na temat fantazji „Miała baba koguta" lub czegoś podobnego. Jeżeli osobnik przygnieciony ciężarem imienin, zajmuje jakieś wyższe urzędowe stanowisko, to przygrywa mu takich orkiestr amatorskich kilkanaście, a ponadto ad hoc zaimprowizowany chór rozdziera mu uszy okolicznościową kantatą.

Przez dwa dni potem prześladuje człowieka „kociokwik", w głowie mu huczy, a długi, zaciągnięte na ucztę imieninową, spłaca przez cały rok. Może spłaciłby je prędzej, ale cóż, kiedy ciągle ktoś z przyjaciół i krewnych ma znowu imieniny...

ROZMAITOŚCI

Głos serca czasem zawodzi...

Przed kilku laty pewien młody angielski oficer, stacjonowany w Indjach, napisał do Anglji list z oświadczynami o rękę pewnej młodej damy, którą poznał w czasie urlopu. Odpowiedź jaką otrzymał, napełniła serce młodzieńca radością. Piękna miss godziła się zostać żoną oficera i oświadczyła, że jest gotową przebyć daleką podróż morską, aby się tylko połączyć z ukochanym.

Młody narzeczony przygotował wszystko do ślubu, zaprosił przyjaciół i kolegów i wyjechał na spotkanie oblubienicy do miasta portowego. Kiedy jednak spuszczono pomost i pasażerowie zaczęli wysypywać się na ląd, okazało się, że przybyła narzeczona nie jest wcale ową młodą, wybraną miss, ale jest starszą, niezamężną ciotką tego samego imienia i nazwiska. Ciotka odebrała oświadczenie, wystosowane w rzeczywistości do siostrzenicy i sądząc, że to o nią chodzi, przybyła do Indyj.

W duszy oficera rozegrała się teraz ciężka walka: miłości z rycerskością. Zrobiło mu się żal tej kobiety, która odbyła tak długą podróż, sądząc, że zostanie jego żoną. Nie odesłał ją tedy z powrotem za morze, ale poślubił ją.

I tutaj dopiero zaczyna się interesująca historja. Oto małżeństwo z zamienioną narzeczoną ukształtowało się niezmiernie szczęśliwie tak, iż oficer po kilku latach, kiedy mu śmierć zabrała towarzyszkę życia, szczerze ją opłakiwał, będąc jednak obecnie wolnym, postanowił uczynić zadość głosowi serca i poślubić ową piękną panienkę, której zapomnieć nie mógł. Oświadczył się tedy o nią, został przyjęty i ożenił się, a po kilku miesiącach musiał podać skargę rozwodową, ponieważ owa upragniona okazała się jak najgorszą żoną, a pożycie małżeńskie dla obojga stało się poprostu piekłem. Wynikałoby z tego, że tak zwany „głos serca", poryw miłości, nie zawsze jest najlepszym doradcą w małżeństwie.

Trzy spotkania

2 Nowela

Profil jej delikatny, cera biała, różowa i złote włosy żywo rysowały się na tle czarnego futerka przy szyi i takiejże czapeczki nieco na bok włożonej i przysłaniającej głowę kształtną i małą. Modre oczy z pod długiej ciemnej rzęsy śmiały się do życia i ciekawie je badały; w kącikach ust drobnych błądził cień melancholji, zadumy. Biła od niej młodość wiośniana, swoboda naturalna pozbawiona wszelkiej zalotności i chęci pozowania.

On miał powagę na wyniosłem czole i dobroć w rysach delikatnych, ale nie pozbawionych energji i siły.

— Pięć godzin na pociąg czekać będziemy. Co pan dobrodziej zwykł robić w takich razach? — śmiejąc się zapytała.

— Pytać i słuchać. Mąż?... dzieci... pani dobrodziejki?

— Mąż śpi spokojnie dzieci jeszcze spokojniej, pewne, że jutro nie stanie nad ich łóżeczkami nauczycielka i nie zawezwie ich do nauki.

— Więc pani?

Chciał zadać jej pytanie, paliła go ciekawość dowiedzenia się czegośkolwiek o niej, ale zatrzymał się krępowany formami towarzyskiemi.

Domyśliła się pytania i rzekła swobodnie:

— Od roku jestem nauczycielką. Na święta jadę do domu; do mamy... do brata... a może i ojciec przybędzie....

Do mamy... do brata... wyrazy te wymówiła miękko, serdecznie, twarz jej przycbłekał wyraz najżywszej radości i szczęścia.

— Dawno nie widziałam mamy, u brata nigdy nie byłam. Pierwszy raz zwiedzę jego państwo. Śliczny, maleńki ma domek pod lasem. Szkoda, że to zima!..... mniej przyjemności niż w lecie. Matuchnie tam wygodnie i zdrowo, letnią porą oddycha świeżem, sosnowem powietrzem. Nie spodziewają mnie się na pewno. Tem milsza będzie dla nich niespodzianka.

Wyrazy płynęły jej wprost z serca, nie zastanawiała się nad ich formą i treścią, nie pamiętała, że rozmawia z obcym nieznanym człowiekiem.

On nie przerywał, lecz słuchał ciekawie. Oczy jego głębokie, myślące, nie odwracały się od jej twarzy.

— Zapewne, będzie to wielka dla rodziny radość — powtórzył.

— Ogromna, proszę pana! Mateczka w każdym liście pisze, że umiera z tęsknoty. Józio odmienia, przyjedź! przyjeżdżaj! przybywaj!..... a ojciec, który dla różnych interesów musi być od nich zdaleka, dodaje: Rzucę wszystko i przyjadę, żeby cię zobaczyć.

Łza zabłysła na jej rzęsach, usta złożyły się do smutku.

— Pani bardzo kocha swoją rodzinę?

— Czy są tacy, którzy jej nie kochają? — zapytała naiwnie, lecz szczerze.

— Nie znam takich —odpowiedział, nie chcąc niweczyć jej wiary złotej, a może i sam tak wierzył.

— Od roku rozłączyłam się z niemi i myślałam wtedy, że umrę z rozpaczy Modliłam się nawet gorąco do Boga, aby mi zesłał śmierć prędką, bo życie bez tych, których się kocha męczarnią mi się zdawało. Lecz wnet pojęłam, że to egoizm, że, mam cel pracy i czynu, święty obowiązek wywałczenia tą pracą właśnie spokojnego bytu i dachu nad głową dla starych rodziców. Przysięgliśmy sobie z Józiem, że nie spoczniemy, aż dopniemy celu. Józio pracuje w fabryce cukru ma pensję niewielką, ale wystarczającą, prócz tego wygodne mieszkanko i trochę gruntu. Szczęśliwszy odemnie, bo dał u siebie schronienie mateczce.

— Jest mężczyzną i na nim, nie na pani ciąży ten obowiązek.

On też nie uchyli się od niego, ale mnie przykro, że biedny chłopiec wziął wszystkie ciężary na siebie, gdy ja od roku pracuję i nic zaoszczędzić nie mogłam. Tyle jest wydatków, zawsze coś kupić, coś przerobić potrzeba.

Zmęczona prędką mową, zakaszlała.

— Nie podoba mi się kaszel pani. Czy dawno dokucza?

— Od jesieni, zaziębiłam się będąc z dziećmi na spacerze.

— Jakich środków używa pani do uśmierzenia?

— Żadnych proszę pana; doktor, u którego leczyć się miałam. wyjechał ku wielkiemu żalowi całej okolicy.

— A nazwisko tego szczęśliwca, który wyjazdem swoim przyczynił tyle zmartwienia, a panią naraził może na kaszel chroniczny? — zapytał z uśmiechem.

— Nazwisko powszechnie znane i szanowane. Miałam zasięgnąć porady doktora Tarły.

Młody człowiek wstał nagle, by wyjąć cygaro z torebki podróżnej.

— Doktor Tarło — zagadnął. — Nie wiedziałem, że okolica straciła cośkolwiek po jego wyjeździe. Przeciwnie!.....

— Młody doktór opuszczając okolicę, w której objął praktykę, zasmucił serca tych wszystkich, dla których nietylko był lekarzem, ale i opiekunem. Z nazwiskiem doktora Tarły łączy się wiele pięknych i szlachetnych czynów — mówiła z przejęciem.

— Źle panią poinformowano. Jam wprost przeciwne słyszał o nim zdania — odpowiedział wolno, patrząc na końce palców wąskiej białej swojej ręki.

— Zdanie wypowiedziane przezemnie głoszą wszyscy znający doktora, podczas gdy pańskie...

— Jest pewnikiem. Doktor Tarło, to blagier i szarlatan.

— Panie! — przerwała z największem oburzeniem i żalem w głosie. — Jak można w ten sposób wyrażać się o człowieku, którego życie upływa wśród pracy i zasługi, wśród czynów takich, nad któremi unosić się trzeba. Przecież opowiadano mi, że doktor wśród ciężkich warunków i bez żadnej pomocy kształcił się i pomagał matce, że nigdy bez małego choćby zasiłku i serdecznej pociechy nie odprawił ode drzwi swoich biedaków i nieszczęśliwych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dzikie dzieci w wilczej jamie.

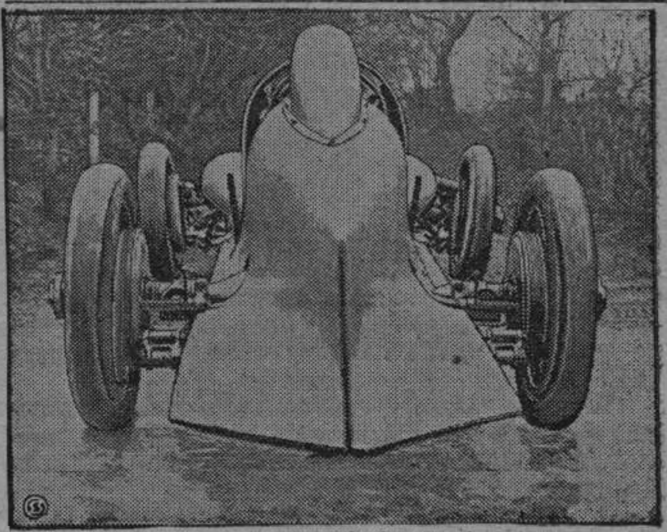
O niesamowitem odkryciu donoszą pisma angielskie z Bengalu, w Indjach Angielskich. Biskup Pakenhem Walsh z Kalkuty, zwiedzając dom sierot w Midnapur, słyszał często od przebywających tam dzieci, że w pobliżu pewnej wioski jest miejsce, nawiedzane systematycznie przez djabłów. Ponieważ podobne opowiadania powtarzały się za każdym razem, kiedy biskup odwiedził dom sierot, postanowił on okolice tajemniczej wioski jaknajdokładniej zbadać, by przekonać się, na czem właściwie działalność owych „djabłów" polega. Już nazajutrz po przybyciu na wskazane miejsce biskup Walsh, iż djabłami temi są wilki, grasujące w tych okolicach. Kiedy pewnego dnia biskup zauważył, że para wilków opuściła swą jamę, postanowił zwiedzić ich legowisko. Po usunięciu gałęzi, nagromadzonych przed wejściem do jamy wilczej, biskup stanął jak wryty: w głębi jamy ujrzał on wśród kilku śpiących wilcząt dwoje małych dzieci. Dwie dziewczynki, jedna mniejwięcej dwuletnia, druga ośmioletnia, bardzo żywe i jak na swój wiek znakomicie rozwinięte, biegały na czworakach po wilczej jamie, wydając przy tem nieartykułowane jakieś dźwięki. Z wielkiemi trudnościami udało się obie dziewczynki odnieść z jamy, gdyż stare wilki, które w międzyczasie powróciły z lasu, nikogo do jamy nie wpuszczały. W jaki sposób dzieci te dostały się do jamy wilczej, dotychczas nie stwierdzono. Sądzi się, że dziewczynki zostały opuszczone przez matkę, względnie przez matki, a wilczyca się niemi zaopiekowała. Młodsza z dziewcząt zmarła wkrótce po przewiezieniu jej do domu sierot, starsza natomiast dotychczas żyje. Jest ona jednak umysłowo słabo rozwinięta, bardzo łagodna dla zwierząt nigdy się nie śmieje i nigdy nie płacze. Unika ludzi natomiast chętnie przebywa w towarzystwie „zwierzęcem".

Najmniejsi ludzie na świecie.

Wielką sensację w kołach naukowych całego świata wywołała wiadomość o odkryciu w Australji plemienia karłów, o których istnieniu nie miano najmniejszego pojęcia. Uczeni sądzą, iż odkryty ród karłów nie jest jedynem plemieniem małoludków w Australji, wobec czego sfery miarodajne postanowiły wysłać w głąb Australji ekspedycję naukową, która zbadać ma nieznane jeszcze dotychczas zakątki Australji. Według wiadomości, nadeszłych z Melbourne, wzrost karzełków australijskich dochodzi zaledwie do 140 centymetrów u mężczyzn i do 130 centymetrów u kobiet. Jest to miara odpowiadająca mniej więcej wzrostowi dziesięcioletniego dziecka. Sposób życia karłów jest zupełnie prymitywny; mieszkają oni w pieczarach, ochronionych przed niepogodą gałęziami palmowemi, lub korą drzew. Karzełki żyją w grupach, przyczem grupy składające się z 20—100 rodzin, tworzą jedną wioskę. Ubiór karzełków stanowi jedynie fartuszek z trawy, lub liścia. Za broń służy im, jak wszystkim prawie ludom prymitywnym łuk i strzały z drzewa, kości lub muszli. Mową potoczną małoludków australijskich jest narzecze języków ludów okolicznych.

Życie gospodarcze karłów jest również bardzo prymitywne; zajmują się głównie polowaniem, przyczem są znakomitemi strzelcami. Znany misjonarz, Jan Seiwert, który badał obyczaje karłów pisze o nich: Jako znakomici znawcy przyrody wiedzą, gdzie są legowiska dzikich zwierząt i znają ich zwyczaje. Wiedzą, gdzie są gniazda ptaków, znają każdą roślinę i każde drzewo. Umieją wyrabiać z orzechów i owoców, z liści, kwiatów, gron, pestek, żywicy, kory i korzeni najrozmaitsze przysmaki i lekarstwa. Ale prócz tego umieją otrzymywać z roślin niebezpieczne trucizny, któremi zatruwają niepozorne lekkie jak piórko, strzały swych łuków, nadając im działanie śmiercionośne. Zarówno wobec Europejczyków, jak i wobec swych sąsiadów, karzełki są nadzwyczaj płochliwe i nieprzystępne. Jest rzeczą godną uwagi, że te prymitywne plemiona małoludków posiadają etykę o wiele czystszą, anii żeli ludy okoliczne, stojące jak się zdaje, na wyższym poziomie kultury. Karzełkom australijskim obce są niszczycielskie wojny, nie znają oni też wielożeństwa, ani ofiar ludzkich. Karły są znakomitemi tancerzami, a ich ulubionym tańcem jest t. zw. „taniec djabelski". Tańcząc ów „taniec djabelski" karzełki wpadają w pewnego rodzaju ekstazę na początku ruchy są wprawdzie dość powolne, przyczem tańczący pochyla się w przód i w tył, kręcąc się przytem w kółko, — ale stopniowo taniec staje się coraz szybszym, ruchy tancerza gwałtowniejsze, oczy błyszczące, głowa rzuca się na wszystkie strony, a długie włosy rozwiewają się wokoło.

Nagle tancerz pada na wznak z wyciągniętemi ramionami, a w tej samej chwili podbiegają widzowie, podnosząc go z ziemi. Ciało tańczącego nie zgina się, lecz pozostaje w kataleptycznej sztywności, dopóki tancerz nie stoi na obu nogach. Potem sztywność powoli ustępuje a taniec tem samem jest skończony.



Najszybszy samochód na świecie.
Znany angielski automobilista kap. Malcon Campell skonstruował ostatnio samochód wyścigowy, którego szybkość wyn. 4,8 klm. na min. Tym sposobem został osiągnięty wprost nieprawdopodobny rekord. Zdjęcie nasze przedstawia niezwykłego wynalazcę wraz z jego wspaniałym wynalazkiem.

Raki dają się przerabiać na jedwabne pończochy.

Departament Handlowy w Waszyngtonie donosi o nowym wynalazku, który pozwala ze skorup raków i krabów wytwarzać jedwab niczem nie różniący się od najwyższych gatunków prawdziwego. W ten sposób elegantki rakom, których same nie pieką, będą zawdzięczały w przyszłości najpiękniejsze pończochy pod słońcem.